

**JOSEPH
CONRAD**

JĄDRO
CIEMNOŚCI

Joseph Conrad
Jądro ciemności

«Public Domain»

Conrad J.

Jądro ciemności / J. Conrad — «Public Domain»,

Jądro ciemności jest opowiadaniem poruszającym dyskusyjną kwestię kolonializmu, którą Conrad miał okazję poznać empirycznie podczas wizyty w Kongo. Utwór uważany jest za arcydzieło, jedno z ważniejszych w dorobku twórców literatury angielskiej. Na język polski został przetłumaczony przez Anielę Zagórską, kuzynkę pisarza. Joseph Conrad w dość młodym wieku, nie kończąc szkoły, wyjechał do Francji, gdzie został marynarzem. Osiadł w Anglii, by rozpocząć tam działalność literacką, a rok później (w 1895 roku) wydać pierwszą powieść — Szaleństwo Almayera. Jego twórczość uznawana jest za wybitną ze względu na obecność pierwiastków romantycznych i pozytywistycznych.

© Conrad J.

© Public Domain

Содержание

I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	20

Joseph Conrad

Jądro ciemności

I

Jacht krążowniczy „Nellie” obrócił się na kotwicy bez najlżejszego trzepotu żagli i stanął bez ruchu. Przyływ się skończył, wiatr ucichł prawie zupełnie, a że jacht kierował się w dół rzeki, nie pozostawało nic innego, tylko zatrzymać się i czekać odpływu.

Przymorski obszar Tamizy rozciągał się przed nami jak początek nieskończonego wodnego szlaku. Morze i niebo w oddali spajały się z sobą bez śladu, a w świetlistej przestrzeni wysuszone na słońcu żagle skut¹, dryfujących w górę z przyływem, zdawały się tkwić spokojnie w kępach czerwonych, mocno napiętych płócien, błyskając pokostowanymi rejkami². Na niskich brzegach stała mgła, ścieląca się ku morzu coraz cieńszą warstwą. Powietrze było ciemne nad Gravesend, a jeszcze dalej w głąb zdawało się zgęszczać w ponury mrok, skupiony w posepnym bezruchu nad najbardziej rozległym i najpotężniejszym miastem świata.

Naszym kapitanem i gospodarzem był dyrektor różnych towarzystw. Wszyscy czterej spoglądaliśmy ku niemu serdecznie, gdy stał na baku³ tyłem do nas, patrząc w stronę morza. Na całej rzece nie było nikogo, kto by choć w części wyobrażał postać tak wybitnie marynarską. Przypominał pilota, który dla marynarza jest wcieleniem tego, co zasługuje na najwyższe zaufanie. Trudno było sobie wyobrazić, że teren jego pracy nie leży het tam, u świetlanego ujścia rzeki, lecz w górze Tamizy, wśród posepnego mroku.

Jednoczyła nas – jak już gdzieś powiedziałem – więź morza. Nie tylko że nie pozwalała, abyśmy o sobie zapomnieli w czasie długich okresów rozstania, ale uczyła nas wzajemnej pobłażliwości dla naszych opowiadań, a nawet poglądów. Prawnik – najmilszy z towarzyszy – miał ze względu na pokaźną ilość lat i cnót jedyną poduszkę na pokładzie i leżał na jedynej derce⁴. Buchalter⁵ wydobył już pudełko z dominem i zabawiał się ustawianiem domków z kostek. Marlow siedział, skrzyżowawszy nogi, w głębi rufy, oparty o tylny maszt. Miał zapadłe policzki, żółtą cerę, proste plecy, wygląd ascety, a ze swymi obwisłymi ramionami i rękami leżącymi na kolanach dłonią ku górze podobny był do bożka. Dyrektor upewniwszy się, że kotwica dobrze trzyma, przyszedł na rufę i zasiadł między nami. Zamieniliśmy leniwie kilka słów. Potem zapadło na jachcie milczenie. Dla jakiejś tam przyczyny nie rozpoczynaliśmy partii domina. Opanowała nas zaduma i byliśmy zdolni tylko do spokojnego patrzenia przed siebie. Dzień się kończył wśród cichej pogody, wspaniałej, nieskazitelnej. Woda jaśniała spokojnie, niebo bez żadnej plamki było dobrotliwym bezmiarem nieskalanego światła; nawet mgły na mokradłach Essexu wyglądały jak zwiewna, promienista tkanina, która zawisała z lesistych wyniosłości w głębi łądu, układając się na niskich brzegach w fałdy przejrzystej draperii. Tylko ku zachodowi mrok tkwił posepnie nad górnym biegiem rzeki i ściemniał się z każdą minutą, jakby rozgniewany zbliżaniem się słońca.

Wreszcie słońce zsunęło się nisko, zakreślając niedostrzegalny łuk, i od gorejącej białości przeszło w ciemną czerwień bez promieni i bez ciepła, jakby miało nagle zagasnąć, rażone śmiercią przy zetknięciu z owym mrokiem ścielącym się posepnie nad ciżbą ludzi.

¹ *szkuta* – niewielki statek rzeczny do przewozu ładunków. [przypis edytorski]

² *reja* – poziome drzewce, u dołu którego mocowany jest żagiel. [przypis edytorski]

³ *bak* – górny pokład w dziobowej części statku. [przypis edytorski]

⁴ *derka* – gruby koc. [przypis edytorski]

⁵ *buchalter* (daw.) – księgowy. [przypis edytorski]

Woda zmieniła oblicze natychmiast, a pogodna jasność stała się mniej świetna, lecz jakby głębsza. Stara rzeka, rozlana szeroko, wypoczywała bez ruchu u schyłku dnia – po całych wiekach dzielnej służby u rasy zaludniającej jej brzegi – rozpostarta spokojnie w swej godności wodnego szlaku wiodącego do najdalszych krańców ziemi. Nie patrzyliśmy na czcigodną rzekę przelotnym spojrzeniem krótkiego dnia, który zjawia się i odchodzi na zawsze, ale widzieliśmy ją w dostojnym świetle trwałych wspomnień. I zaiste, nic łatwiejszego dla ludzi, którzy – jak to się mówi – „poświęcili się morzu” z szacunkiem i przywiązaniem, niż wywołać wielkiego ducha przeszłości na przymorskim obszarze Tamizy. Przyptyw i odpływ biegną tam i z powrotem w nieustającej służbie, przepełnione wspomnieniami o okrętach i ludziach, których niosły ku domowemu wytchnieniu lub ku walkom na morzach. Prądy te znały wszystkich mężów, którymi szczyli się naród, i służyły im wszystkim – od sir Francisa Drake'a⁶ do sir Johna Franklina⁷ – rycerzom utytułowanym lub nie, wielkim błędnym rycerzom morza. Prądy te dźwigały wszystkie statki, których imiona są jak drogocenne kamienie błyszczące w pomroce wieków, od „Złotej Łani”⁸ powracającej z łonem pełnym skarbów – statku, co po odwiedzinach jej królewskiej mości znika z gigantycznej opowieści – aż do „Erebu” i „Terroru”⁹, które puściły się na inne podboje, aby nigdy nie wrócić. Prądy te znały i okręty, i ludzi. Znały tych, co wypłynęli z Deptford, z Greenwich, z Erith – awanturników i osadników; znały okręty królewskie i okręty finansistów, kapitanów, admirałów, znały ciemne figury z handlu ze Wschodem i upełnomocnionych „generałów” wschodnio-indyjskich flot. Łowcy złota lub łowcy sławy, wszyscy płynęli tą rzeką dzierżąc miecz, a często i pochodnię – wysłannicy potęgi z głębi kraju, niosący iskry świętego ognia. Któraż wielkość nie płynęła z prądem tej rzeki, dążąc ku tajemnicy nieznanych ziem! ... Marzenia ludzkie, nasiona rzeczypospolitych, zarodki cesarstw.

Słońce zaszło, zmierzch padł na rzekę i światła zaczęły się ukazywać wzdłuż brzegu. Latarnia morska Chapmana, stojąca na trzech nogach wśród błotnej ławicy, rzuciła silny blask. Okrętowe światła dążyły żeglownym szlakiem – odbywał się wielki ruch światełek w górę i w dół rzeki. A dalej na zachód, nad górnym biegiem, leże miasta-olbrzyma znaczyło się wciąż złowieszczo na niebie – posępną mgłą w słońcu, mętnym blaskiem pod gwiazdami.

– A i to miejsce – rzekł nagle Marlow – było ongi jednym z mrocznych zakątków ziemi.

On jeden jedyny spośród nas wciąż jeszcze „służył na morzu”. Najgorszy zarzut, jaki mógł spotkać Marlowa, to że nie był on typowym przedstawicielem swego zawodu. Był marynarzem, ale był również wędrowcem, gdy tymczasem większość marynarzy prowadzi, jeśli można się tak wyrazić, życie osiadłe. Ich usposobienie należy do kategorii domatorskich, a dom zawsze jest z nimi – okręt; tak samo jak ich kraj – morze. Jeden okręt jest bardzo podobny do drugiego, a morze zawsze jest jednakowe. Wśród niezmienności otoczenia obce wybrzeża, obce twarze, zmienny ogrom życia, przesuwały się koło nich przesłonięte bynajmniej nie poczuciem tajemnicy, lecz nieco pogardliwą niewiedzą; gdyż nie ma dla marynarza nic tajemniczego – chyba samo morze, które jest władcą jego istnienia, władcą równie niezbędnym jak los. Co zaś do reszty świata, przypadkowy spacer poza godzinami służby lub przypadkowa pijatyka na wybrzeżu wystarcza, aby odsłonić przed marynarzem tajemnicę całego kontynentu, i marynarz uważa na ogół, że tajemnica nie była warta poznania. Opowiadania żeglarzy są proste, bezpośrednie i zbytkiem sensu nie grzeszą. Lecz Marlow nie był typowym żeglarzem (wyjąwszy jego skłonność do opowiadań) i według niego sens jakiegoś epizodu nie tkwił w środku jak pestka, lecz otaczał z zewnątrz opowieść, która tylko rzucała nań światło – jak blask oświetla opary – na wzór mglistych aureoli widzialnych czasem przy widmowym oświetleniu księżyca.

⁶ *Drake, Francis* (1540–1596) – angielski kaper (licencjonowany pirat), żeglarz i polityk brytyjski, jako pierwszy Anglik opłynął kulę ziemską. [przypis edytorski]

⁷ *Franklin, John* (1786–1847) – brytyjski admirał, badacz Arktyki, zginął w trakcie nieudanej ekspedycji badawczej. [przypis edytorski]

⁸ *Złota Łania* – statek, na którym sir Francis Drake opłynął świat. [przypis edytorski]

⁹ „*Ereb*” i „*Terror*” – statki zaginione razem z całą arktyczną ekspedycją sir Johna Franklina. [przypis edytorski]

Uwaga Marlowa nie zaskoczyła nas wcale. To było zupełnie w jego stylu. Przyjęliśmy ją w milczeniu. Nikt nie zdobył się nawet na mruknięcie, a on wkrótce zaczął znów mówić powoli:

– Mam na myśli bardzo dawne czasy, kiedy Rzymianie przybyli tu po raz pierwszy, tysiąc dziewięćset lat temu – wczoraj... Światło biło później z tej rzeki – wspominaliście o rycerzach? Tak, ale to wszystko jest jak blask przebiegający równiną, jak błyskawica wśród chmur. Żyjemy w tym blasku – oby trwał, póki stara ziemia toczyć się będzie! Lecz wczoraj była tu ciemność. Wystawcie¹⁰ sobie uczucia dowódcy pięknej – jak to się nazywało? – tryremy¹¹ na Morzu Śródziemnym, dowódcy odkomenderowanego nagle na północ: przebiega Galię w pośpiechu; powierzają mu jeden z tych statków, które legionieści – musieli to być cudowni ludzie i bardzo obrotni – budowali, jak się zdaje, całymi setkami w przeciągu miesiąca lub dwóch, jeśli można wierzyć temu, co się czyta. Wyobraźcie go sobie tam: istny koniec świata, morze barwy ołowiu, niebo barwy dymu, okręt o zwartości concertiny¹² – a dowódca prowadzi go w górę rzeki, wioząc zapasy czy rozkazy, czy co tam chcecie. Ławice piasku, bagna, lasy, dzicy ludzie, znikoma ilość pożywienia odpowiedniego dla cywilizowanego człowieka, a do picia nic prócz wody w Tamizie. Falerneńskiego wina¹³ ani śladu; wysiadać na brzeg nie można. Tu i tam obóz wojskowy zagubiony w dziczy jak igła w kopcu siana – zimno, mgła, burze, choroby, wygnanie i śmierć czatująca w powietrzu, w wodzie, w gąszczu. Musieli tu ginąć jak muchy. Ale z pewnością dowódca poprowadził bardzo dobrze tę wyprawę, niewiele o tym myśląc – chyba później, kiedy się chełpił wszystkim, co przeszedł swojego czasu. Byli to ludzie dość mężni, by stawić czoła ciemności. A może takiemu dowódcy dodawała ducha nadzieja, że dostanie się z czasem do floty w Rawennie – jeśli miał dobrych przyjaciół w Rzymie i jeśli wytrzymał straszny klimat.

Albo wyobraźcie sobie, że przyzwoity, młody obywatel w todze – może cokolwiek za gorliwie uprawiający grę w kości – zjawia się tutaj w świecie jakiegoś prefekta¹⁴ albo poborcy podatków, albo wreszcie kupca, by poprawić swój los. Łąduje na trzęsawisku, maszeruje przez lasy i osiadłszy na jakiejś placówce w głębi łądu czuje, że dzicz, ostateczna dzicz zamknęła się wkoło niego – tajemnicze życie dziczy, które tętni w lesie, w dżungli, w sercach dzikich ludzi. Nie ma wtajemniczenia w takie misteria. Nasz obywatel musi żyć pośród niepojętego, które jest także czymś obrzydłym. A jednocześnie to niepojęte ma czar, który zaczyna na niego działać. Czar ohydy, rozumiecie? Wyobraźcie sobie rosnący w tym człowieku żal, pragnienie ucieczki, bezsilny wstręt, poddanie się, nienawiść.

Zamilkł.

– Zważcie – zaczął znów i siedząc ze skrzyżowanymi nogami podniósł rękę obróconą dłonią na zewnątrz, zupełnie jak Budda nauczający w europejskim ubraniu i bez lotosu – zważcie, że żaden z nas nie czułby tego samego. Ratuje nas wiara w skuteczność naszej pracy – poświęcenie się dla niej. Ale tamci ludzie nie przedstawiali doprawdy nic nadzwyczajnego. Kolonistami nie byli; podejrzewam, że ich administracja nie różniła się niczym od ucisku. Byli zdobywcami, do tego zaś potrzeba tylko bezmyślnej siły; i nie ma się czym szcycić, jeśli się ją posiada, ponieważ siła ta jest po prostu przypadkiem i wypływa ze słabości innych. Zagarniali, co mogli, ze zwykłej chciwości. Była to po prostu kradzież z włamaniem, masowe morderstwo na wielką skalę, a ludzie rzucali się w to na oślep – jak przystoi tym, którzy napastują mrok. Zdobywanie ziemi, polegające przeważnie na tym, że się ją odbiera ludziom o odmiennej cerze lub trochę bardziej płaskich nosach, nie jest rzeczą piękną, jeśli się w nią wejrzy zbyt blisko. Odkupia ją tylko idea. Idea tkwiąca w głębi; nie sentymentalny

¹⁰ *wystawić* (daw.) – wyobrazić. [przypis edytorski]

¹¹ *tryrema* – trirema, starożytny okręt wojenny z trzema rzędami wiosł. [przypis edytorski]

¹² *concertina* – odmiana akordeonu. [przypis edytorski]

¹³ *falerneńskie wino* – wino z okolic Neapolu. [przypis edytorski]

¹⁴ *prefekt* – urzędnik rzymski. [przypis edytorski]

pozór, tylko idea; i altruistyczna wiara w tę ideę – coś, co można wyznawać i bić przed tym pokłony, i składać ofiary...

Urwał. Płomyki ślizgały się po rzece: małe, zielone płomyki, czerwone płomyki, białe płomyki, które się ściagały nawzajem, dopędzały, łączyły, krzyżowały – aby się rozstać śpiesznie lub powoli. Ruch handlowy wielkiego miasta trwał na bezsennej rzece wśród gęstniejącego mroku.

Przypatrywaliśmy się, czekając cierpliwie – nic innego nie można było robić aż do końca przyptywu; lecz dopiero po dłuższym milczeniu Marlow rzekł wahająco: – Pamiętacie pewno, koledzy, że byłem czas jakiś marynarzem na słodkich wodach – i wówczas wiedzieliśmy już, że jest nam sądzone, nim zacznie się odpływ, wysłuchać jednej z rozlicznych przygód Marlowa, nie doprowadzających do żadnej konkluzji.

– Nie chcę nudzić was długo tym, co spotkało mnie samego – zaczął, zdradzając tą uwagą słabość właściwą wielu gawędziarzom, którzy tak często zdają się nie wiedzieć, co ich słuchaczy najbardziej interesuje – lecz aby zrozumieć wpływ, jaki to na mnie wywarło, musicie wiedzieć, jak się tam znalazłem, co zobaczyłem, jak popłynąłem w górę rzeki aż do miejsca, gdzie spotkałem się po raz pierwszy z tym nieborakiem. Był to najdalszy punkt mojej wyprawy i kulminacyjny punkt mych przeżyć. Rzucił jak gdyby pewien rodzaj światła na to, co mnie otaczało, i na moje myśli. Wszystko to było dość ponure i żalosne, i wcale nie nadzwyczajne – i nie bardzo jasne. Nie, nie było bardzo jasne. A jednak zdaje mi się, że rzuciło pewnego rodzaju światło.

Powróciłem wówczas, jak pamiętacie, do Londynu po dłuższej żegludze na Oceanie Indyjskim, Spokojnym, na morzach chińskich, po porządnej porcji Wschodu – trwało to około sześciu lat. Wałęsałem się tu i ówdzie, przeszkadzając kolegom w pracy i nachodząc wasze domy, zupełnie jakby mi niebo poruczyło¹⁵ misję, aby was cywilizować. Przez pewien czas bardzo to było przyjemne, lecz wkrótce zmęczyłem się wypoczynkiem. Wówczas zacząłem rozglądać się za okrętem – co jest chyba najcięższą pracą na świecie. Ale okręty nie chciały nawet na mnie patrzeć. I ta zabawa zmęczyła mnie również.

Otóż, kiedy byłem małym chłopczykiem, miałem namiętność do map. Wpatrywałem się godzinami w Południową Amerykę i Afrykę lub Australię, pogrążając się we wspaniałościach odkrywczych podróży. W owych czasach było jeszcze wiele miejsc pustych na ziemi, a jeśli które z nich wydawało mi się na mapie szczególnie ponętne (ale one wszystkie tak wyglądają), kładłem nań palec i mówiłem: „Pojadę tam, jak dorosnę”. Pamiętam, że biegun północny należał do tych miejsc. No, nie zajechałem tam jeszcze, a teraz już próbować nie będę. Czar prysł. Inne znów miejsca były rozrzucone w okolicach równika i po wszelkich szerokościach geograficznych obu półkul. Zwiedziłem niektóre a nich i... no, nie będziemy o tym mówili. Ale było tam jedno – największe, najbardziej puste, że tak powiem – do którego ciągnęło mnie najsilniej.

Prawda, że w owej chwili to miejsce nie było już puste. Od czasów mego dzieciństwa wypełniły je rzeki i jeziora, i nazwy. Przestało być próżną przestrzenią pełną rozkosznej tajemnicy – białą plamą, budzącą w chłopcu wspaniałe marzenia. Przeobraziło się w miejsce, gdzie panuje mrok. Ale była tam przede wszystkim jedna rzeka, wielka, potężna rzeka, którą się oglądało na mapie, podobną do olbrzymiego, wyciągniętego węża, ze łbem w morzu, z tułowiem wijącym się poprzez rozległą krainę, z ogonem zagubionym w głębi łądu. A gdy przyglądałem się mapie przez okno wystawy, przykuwała mnie ta rzeka, jak wąż przykuwa wzrokiem ptaszka – niemądrego, małego ptaszka.

Przypomniałem sobie, że istnieje wielkie towarzystwo, spółka do handlu na tej rzece. Do licha! Przyszło mi na myśl, że przecież nie mogą prowadzić handlu bez posługiwania się jakimiś statkami na tej ogromnej wodnej przestrzeni – bez parowców! Dlaczego bym nie miał się postarać o dowództwo któregoś z nich? Szedłem dalej przez Fleet Street, ale nie mogłem się pozbyć tych myśli. Wąż mnie oczarował.

¹⁵ poruczyć (daw.) – powierzyć. [przypis edytorski]

To handlowe towarzystwo było spółką z kontynentu; ale mam mnóstwo krewnych na kontynencie, ponieważ – jak mówią – taniej tam i wcale nie tak nieprzyjemnie, jakby się zdawało.

Z przykrością muszę wyznać, że zacząłem swych krewnych nudzić. Już to samo było dla mnie czymś zupełnie nowym. Rozumiecie, nigdy nie miałem zwyczaju w taki sposób brać się do rzeczy. Szedłem zawsze swoją własną drogą, na własnych nogach, tam, dokąd miałem ochotę. Nie byłbym wierzył, że jestem zdolny do czegoś podobnego, tylko że – widzicie – jakoś czułem, że muszę się tam dostać – tak czy inaczej. Więc ich zanudzałem. Mężczyźni mówili: „Mój drogi” – i nic nie robili. Wówczas – czy uwierzycie? – wziąłem się do kobiet. Ja, Charlie Marlow, zaprząłem do roboty kobiety, aby dostać posadę. Słowo daję! No, widzicie – prześladowała mnie ta myśl. Miałem ciotkę, zącą, entuzjastyczną duszę. Napisała mi: „To będzie cudowne. Gotowam zrobić dla Ciebie wszystko, wszystko. Myśl jest wspaniała. Znam żonę jednego z członków administracji postawionego bardzo wysoko; znam także człowieka, który ma wielkie wpływy” – itd., itd. Postanowiła póty suszyć głowę ludziom, póki mnie nie mianują kapitanem rzecznej parowca, ponieważ taka jest moja fantazja.

Dostałem nominację, oczywiście, i dostałem ją bardzo prędko. Zdaje się, że towarzystwo dowiedziało się o śmierci jednego z kapitanów, który został zabity w bójce z krajowcami. To było moje szczęście i tym bardziej zachciało mi się jechać. Dopiero w długie miesiące potem, gdy usiłowałem odzyskać ciało owego kapitana, dowiedziałem się, że źródłem kłótni było nieporozumienie co do kur. Tak, dwóch czarnych kur. Fresleven – tak się ów człowiek nazywał – Duńczyk, uważał, że go pokrzywdzono przy kupnie, wysiadł więc na ląd i zaczął okładać laską naczelnika wsi. Ach, nie zdziwiłem się wcale, gdy mi to opowiadali, zaznaczając równocześnie, że Fresleven był najłagodniejszą, najspokojniejszą istotą pod słońcem. Było tak z pewnością; ale przecież znajdował się tam już od paru lat, służąc wzniosłej idei i prawdopodobnie uczuł nareszcie potrzebę stwierdzenia w jakikolwiek sposób szacunku dla siebie samego. Dlatego też łupił bez litości starego Murzyna; naokoło gapił się tłum skamieniałych krajowców, aż wreszcie jeden z nich – podobno syn naczelnika – słuchając z rozpaczą wrzasków starca, rzucił w białego włóczęgę dla próby – i oczywiście włóczęga uwięzła z łatwością między łopatkami. Potem cała ludność uciekła do lasu w oczekiwaniu wszelkich możliwych klęsk, zaś parowiec dowodzony przez Freslevena odpłynął również w wielkim popłochu, pod komendą maszynisty, o ile sobie przypominam. Później nikt już nie zdawał się troszczyć o szczątki Freslevena, póki się tam nie znalazłem jako jego następcą. Nie mogłem tej sprawy zaniedbać, ale gdy wreszcie nastęczyła mi się sposobność zetknięcia z moim poprzednikiem, trawa rosnąca między jego żebrami dość była wysoka, aby zasłonić kości. Zostały wszystkie na miejscu. Nikt nie tknął nadnaturalnej istoty leżącej na ziemi. Wieś opustoszała, chaty stały otworem, czarne, butwiejące, krzywe wśród rozwalonych płotów. Klęska spadła istotnie na wieś. Ludność znikła. Obląkany strach rozproszył wszystkich – mężczyzn, kobiety i dzieci; zaszyli się w gąszcz i nie wrócili już nigdy. Nie wiem doprawdy, co się stało z kurami. Przypuszczam, że sprawa postępu pozyskała je jakoś dla siebie. Tak czy owak, wskutek tej sławnej afery dostałem nominację, nim się jeszcze zacząłem naprawdę jej spodziewać.

Latałem na wszystkie strony jak wariat, aby się przygotować do wyjazdu, i przed upływem czterdziestu ośmiu godzin jechałem już przez kanał dla pokazania się pryncypałom¹⁶ i podpisania kontraktu. W bardzo niewiele godzin przybyłem do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób¹⁷. Z pewnością to uprzedzenie. Znalazłem bez trudu biura kompanii. Był to największy budynek w mieście i każdy, kogo tylko spotkałem, mówił o tym towarzystwie. Spółka miała się zabrać do założenia zamorskiego cesarstwa i zdobyć nieskończone mnóstwo pieniędzy za pomocą handlu.

Wąska, opustoszała uliczka w głębokim cieniu, wysokie domy, niezliczone okna o weneckich żaluzjach, martwa cisza, trawa między kamieniami, imponujące wjazdowe arkady na prawo i lewo, olbrzymie masywne, nieco uchylone podwoje. Wślizgnąłem się przez jedną z tych szpar, wszedłem po

¹⁶ *pryncypał* (daw.) – zwierzchnik. [przypis edytorski]

¹⁷ *do miasta, które przypomina mi zawsze pobielany grób* – prawdopodobnie mowa tu o Brukseli. [przypis edytorski]

zamiecionych, nagich schodach, jałowych jak pustynia, i otworzyłem pierwsze z napotkanych drzwi. Dwie kobiety, jedna tęga, a druga szczupła, siedziały na krzesłach wyplatanych słomą, robiąc coś na drutach z czarnej wełny. Szczupła podniosła się i szła wprost na mnie ze spuszczonej oczyma – nie przestając poruszać drutami – i dopiero gdy pomyślałem, że trzeba ustąpić jej z drogi jak lunatycze, zatrzymała się i podniosła oczy. Miała suknię prostą jak futerał od parasola; odwróciła się bez słowa i zaprowadziła mnie do poczekalni. Wymieniłem swoje nazwisko i zacząłem się rozglądać. W środku był stół z sosnowego drzewa, zwykle krzesła stały pod ścianami, w jednym końcu pokoju wisiała wielka, błyszcząca mapa, znaczone wszystkimi kolorami tęczy. Była tam wielka ilość czerwieni – którą zawsze miło jest widzieć, ponieważ z góry wiadomo, że odbywa się tam bardzo konkretna praca – całe mnóstwo błękitu, trochę zieleni, pasma pomarańczowe, a na wschodnim wybrzeżu purpurowa łąka, aby pokazać, gdzie weseli pionierzy postępu popijają wesołe piwo lagrowe. Ale nie wybierałem się do żadnego z tych kolorów. Wybrałem się do żółtego. W samym środku mapy – jak strzelił. I rzeka była tam także – przykuwająca – śmiertelna – niby wąż. Brr!

Otworzyły się drzwi, ukazała się białowłosa głowa sekretarza o współczującym wyrazie twarzy i kościsty palec kiwnął na mnie. Wszedłem do sanktuarium. Światło tu było przyćmione, a ciężkie biurko przykucnęło w środku pokoju. Doznałem wrażenia, że za tym gmachem tkwi blada otyłość w surducie¹⁸. Był to ów wielki człowiek we własnej osobie. Liczył zapewne jakieś pięć stóp sześć cali, a dzierżył¹⁹ w ręku bardzo wiele milionów. Podał mi dłoń, o ile pamiętam, szepnął coś nieokreślonego, wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny²⁰. *Bon voyage*²¹.

Po upływie czterdziestu pięciu sekund mniej więcej znalazłem się znów w poczekalni w towarzystwie współczującego sekretarza, który – strapiiony i pełen sympatii – dał mi do podpisania jakiś dokument. Zdaje mi się, że między innymi zobowiązałem się do zachowania wszystkich handlowych sekretów. No i nie zamierzam ich zdradzić.

Zacząłem odczuwać lekki niepokój. Wiecie, że nie jestem przyzwyczajony do takich ceremonii, a przy tym w tej atmosferze było coś złowieszczonego. Zupełnie jakby mnie wtajemniczono w jakiś spisek – nie umiem tego określić – jakby coś było niezupełnie w porządku; cieszyłem się, kiedy się stamtąd wydostał. W przyległym pokoju owe dwie kobiety robiły gorączkowo na drutach coś z czarnej wełny. Zjawiali się interesanci i młodsza z kobiet, wprowadzając ich, chodziła tam i na powrót. Stara siedziała na krześle. Płaskie sukienne pantofle oparła o ogrzewacz do nóg, a na jej kolanach spoczywał kot. Na głowie miała jakąś białą, wykrochmaloną historyjkę, brodawkę na policzku i okulary w srebrnej oprawie zsunięte na koniec nosa. Popatrzyła na mnie znad szkieł. Zmieszał mnie obojętny spokój tego szybkiego spojrzenia. Wprowadzono właśnie dwóch młodzików o głupekowatych, wesołych twarzach, a stara rzuciła im takie samo szybkie spojrzenie, mądre i obojętne. Zdawało się, że wie o nich wszystko, a także i o mnie. Poczujęm zabobonny lęk. Wydała mi się niesamowita i złowroga. Często – gdy byłem już daleko – myślałem o tych dwóch kobietach, odźwiernych u wrót Ciemności, robiących na drutach jakby ciepły całun z czarnej wełny; wspominałem, jak jedna z nich wprowadza, wprowadza bez końca w nieznanne, a druga bada obojętnie starymi oczami wesołe i głupie twarze. *Ave!* stara pracownico, migająca drutami nad czarną przędzą. *Morituri te salutant*.²² Niewielu z tych, na których spojrzała, zobaczyło ją znowu – znacznie mniej niż połowa.

Czekała mnie jeszcze wizyta u doktora. „Prosta formalność” – zapewnił mnie sekretarz z takim wyrazem twarzy, jak gdyby brał pokaźny udział we wszystkich moich strapieniach. Jakiś

¹⁸ *surdut* – rodzaj dwurzędowej marynarki, popularnej na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

¹⁹ *dzierżyć* (daw.) – trzymać. [przypis edytorski]

²⁰ *wyraził uznanie dla mojej francuszczyzny* – Conrad wielokrotnie podkreśla, że bohaterowie opowieści Marlowa rozmawiają ze sobą po francusku. [przypis edytorski]

²¹ *bon voyage* (fr.) – dobrej podróży. [przypis edytorski]

²² *Ave!* [...] *Morituri te salutant* (łac.) – Witaj... pozdrawiają cię idący na śmierć (tradycyjny okrzyk gladiatorów na widok cesarza). [przypis edytorski]

młodziak w kapeluszu naciśniętym na lewą brew, zapewne urzędnik – musieli tam być i urzędnicy w tej spółce, choć dom był cichy, jakby się znajdował w mieście umarłych – zeszedł skądś z góry i poprowadził mnie. Obszarpany był i zaniedbany, rękawy kurtki miał poplamione atramentem, a pod brodą, przypominającą czubek starego buta, tkwił wielki, falisty krawat. Na doktora było jeszcze trochę za wcześnie, więc zaproponowałem, żebyśmy się czegoś napili, dzięki czemu mój towarzysz puścił wodze swej wesołości. Gdyśmy już siedzieli przy kieliszkach wermutu, zaczął się unosić nad interesami spółki; od słowa do słowa, wyraziłem mimochodem zdziwienie, że on sam nie wybiera się do Afryki. Ochłódl natychmiast i stał się bardzo opanowany.

– Nie taki dureń ze mnie, na jakiego wyglądam, rzekł Platon do swoich uczniów – powiedział sentencjonalnie i wychylił kieliszek z wielką stanowczością, po czym wstaliśmy z miejsc.

Stary doktor wziął mnie za puls, myśląc najwidoczniej zupełnie o czym innym.

– W porządku, może pan jechać – mruknął i zapytał z pewną skwapliwością²³, czy bym mu nie pozwolił zmierzyć swej głowy. Odrzekłem: „dobrze” – nieco tym zaskoczony, a on wyciągnął coś w rodzaju cyrkla i zrobił pomiary z tyłu, z przodu i ze wszystkich stron, notując starannie. Był to nieogolony człowieczek w wytartym kaftanie podobnym do opończy i pantoflach; wyglądał na nieszkodliwego durnia.

– W interesie nauki – rzekł – proszę zawsze tych, którzy tam jadą, aby mi pozwolili zmierzyć swe czaszki.

– A gdy wracają, robi pan to samo? – zapytałem.

– Ach, nigdy się już z nimi nie stykam – zauważył – a przy tym, widzi pan, zmiany zachodzą w środku. – Uśmiechnął się jak po wypowiedzeniu przyjemnego żartu. – Więc pan tam jedzie. Świetnie. To bardzo zajmujące. – Spojrzał na mnie badawczo i znów coś zanotował. – Czy nie było kiedy w pańskiej rodzinie wypadku obłąkania? – zapytał rzeczowym tonem.

Zaczynało mnie to mocno drażnić.

– Pan pyta o to również w interesie nauki?

– Byłoby rzeczą zajmującą – odrzekł, nie zwracając uwagi na moje rozdrażnienie – gdyby można dla celów naukowych śledzić tam, na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach, ale...

– Czy pan jest psychiatrą? – przerwałem.

– Każdy lekarz powinien być trochę psychiatrą – odparł z niewzruszonym spokojem oryginał.

– Mam pewną teoryjkę, do której udowodnienia wy, panowie, udający się tam, musicie mi pomóc. To jest mój udział w korzyściach, jakie kraj mój²⁴ powinien osiągnąć z posiadania tej wspaniałej kolonii²⁵. Bogactwa zostawiam innym. Proszę mi wybaczyć te pytania, ale pan jest pierwszym Anglikiem, który się dostaje pod moją obserwację...

Pospieszyłem go zapewnić, że nie jestem bynajmniej typowy.

– Gdyby tak było – rzekłem – nie rozmawiałbym z panem w ten sposób.

– To, co pan mówi, jest dość głębokie i prawdopodobnie błędne – rzekł ze śmiechem. – Niech pan się wystrzeże irytacji jeszcze bardziej niż przebywania na słońcu. *Adieu*²⁶. Jak to mówicie po angielsku, co? *Good-bye*²⁷. Aha! *Good-bye. Adieu*. Pod zwrotnikami trzeba przede wszystkim zachowywać spokój... – Podniósł ostrzegawczo palec... – *Du calme, du calme*²⁸. *Adieu*.

Pozostawało mi jeszcze jedno – pożegnać się z moją zacną ciotką. Zastałem ją tryumfującą. Wypiłem filiżankę herbaty – ostatnią filiżankę porządnej herbaty na długi przeciąg czasu – i w pokoju,

²³ *skwapliwość* – ostentacyjna gotowość a. pośpiech. [przypis edytorski]

²⁴ *kraj mój* – mowa o Belgii, której król, Leopold II (1835–1909), władał również Wolnym Państwem Kongo, prowadząc tam rabunkową gospodarkę i ludobójczą politykę. [przypis edytorski]

²⁵ *tej wspaniałej kolonii* – mowa o Wolnym Państwie Kongo, funkcjonującym w latach 1885–1908. [przypis edytorski]

²⁶ *adieu* (fr.) – do widzenia (dosł.: z Bogiem). [przypis edytorski]

²⁷ *good-bye* (ang.) – do widzenia. [przypis edytorski]

²⁸ *Du calme, du calme* (fr.) – spokojnie, spokojnie. [przypis edytorski]

który wyglądał właśnie tak, jak sobie wyobrażamy kobiety salon, co podziało na mnie niezmiernie kojąco, ucieliśmy przy kominku długą, spokojną gawędę. W ciągu tych zwierzeń zrozumiałem, że opisano mnie żonie wysokiego dygnitarza – i poza tym Bóg raczy wiedzieć ilu innym osobom – jako wyjątkową i szczególnie obdarzoną przez los istotę, człowieka opatrnościowego dla spółki, jakiego się często nie spotyka. Miłosierny Boże! a ja miałem objąć komendę na jakimś tam marnym rzeczonym parowcu, zaopatrzonym w taniutką gwizdawkę. Okazało się przy tym, że jestem także Działaczem, przez duże „D” – rozumiecie. Niby wysłańcem świata, niby apostołem pośledniejszego gatunku. W owych czasach rozpuszczano masę takich bredni w druku i słowie i zacna moja ciotka, żyjąca pośrodku tej całej blagi, straciła równowagę. Póty rozprawiała o tym, że „trzeba odzwycząić miliony tych ciemnych ludzi od ohydneho ich życia”, aż wreszcie – daję wam słowo – zrobiło mi się jakoś głupio. Ośmieliłem się nadmieniç, że przecieź spółka została założona dla zysku.

– Zapominasz, kochany Charlie, że każda praca zasługuje na zapłatę – rzekła wesoło.

To ciekawe, jak dalece kobiety nie mają poczucia rzeczywistości. Żyją we własnym świecie, który właściwie nigdy nie istniał i istnieç nie może. Jest na to o wiele za piękny, a gdyby można taki świat zbudować, rozleciałby się przed zachodem słońca. Pierwszy lepszy nieznośny fakt, z którym my mężczyźni współżyjemy zgodnie od chwili stworzenia, wyrwałby się i dałby w łeb całej historii.

Zostałem uściskany, przykazano mi, abym nosił flanelę, abym często pisywał i tak dalej – i pożegnałem się. Na ulicy – nie wiem dlaczego – opanowało mnie dziwne wrażenie, iż jestem oszustem. Szczególna rzecz, że ja, który przywykłem był wyruszać w jakąkolwiek stronę świata w przeciagu dwudziestu czterech godzin, poświęcając temu mniej uwagi niż inni przejściu na drugą stronę ulicy, miałem chwilę, nie powiem wahania, ale ociągania się i lęku wobec takiej zwykłej historii. Najlepiej wam to wytłumaczę, gdy powiem, że przez parę sekund doznałem uczucia, jakbym się wybierał nie do środka jakiegoś kontynentu, ale do środka ziemi.

Wsiadłem na francuski parowiec, który zajeżdżał do wszystkich zakazanych portów, jakie Francuzi mają tam po drodze – jedynie po to, o ile się mogłem połapać, aby wysadzać na ląd żołnierzy i urzędników komory celnej. Przypatrywałem się wybrzeżu. Obserwowanie brzegu, który przesuwają się koło okrętu, przypomina rozwiązywanie zagadki. Oto leży przed wami wybrzeże, uśmiechnięte, chmurne, powabne, wspaniałe, nędzne, banalne albo dzikie – a zawsze nieme, choć zdaje się szeptać: chodź i przekonaj się. Ten zaś brzeg był prawie zupełnie bez charakteru, jakby się jeszcze nie ukształtował, a wygląd miał ponury i monotony. Skraj olbrzymiej dżungli – o zieleni tak ciemnej, że wydawała się prawie czarna – obramowany białą frędzlą nadbrzeżnych fal, biegł prosto jak nakreślony przy pomocy linii – daleko, hen, daleko wzdłuż błękitnego morza, którego połysk był przyćmiony przez pełzającą mgłę. Słońce paliło okrutnie, ziemia zdawała się błyszczeć i ociekać kroplami pary. Gdziegdzie popielato-białe plamki ukazywały się grupkami na wybrzeżu poza białą linią fal; czasem powiewała nad nimi flaga. Były to osady liczące po kilka wieków, a jednak nie większe niż główki od szpilek na nietkniętym obszarze kraju. Statek sunął ciężko wzdłuż brzegu, zatrzymywał się, wysadzał żołnierzy; jechał dalej, wysadzał urzędników komory celnej, aby pobierali cło na wybrzeżu, które wyglądało jak pustka zapomniana przez Boga, z zagubioną w niej blaszaną szopą i słupem od flagi; i znów wysadzał żołnierzy – prawdopodobnie, aby pilnowali urzędników komory celnej. Mówiono mi, że kilku z nich utonęło w nadbrzeżnych falach, ale nikt nie zdawał się o to troszczyć. Wyrzucono ich tam po prostu i jechaliśmy dalej. Dzień po dniu brzeg wyglądał tak samo, jakbyśmy nie poruszali się wcale; przejeżdżaliśmy koło różnych miejsc – osad handlowych – o nazwach takich jak Gran'Bassam, Little Popo; nazwach, które zdawały się należeć do jakiejś plugawej farsy odgrywanej na tle posępnej kurtyny. Bezczyńność pasażera, osamotnienie wśród tych wszystkich ludzi, z którymi nie miałem żadnych punktów stycznych, oleiste i leniwe morze, jednostajna posępność wybrzeża, trzymały mnie jakby z dala od rzeczywistości – uwikłanego w sieci żałobnej i bezsensownej ułudy. Głos nadbrzeżnych fal, dochodzący niekiedy, stanowił dla mnie prawdziwą przyjemność jak odezwanie się brata. Był to objaw naturalny, coś, co miało swoją przyczynę i jakieś znaczenie. Niekiedy łódź z wybrzeża dawała mi chwilowy kontakt z rzeczywistością. Wiosłowali w

niej czarni ludzie. Można było dojrzeć z daleka połyskujące białka ich oczu. Krzyczeli, śpiewali; ciała ich oblewał pot, twarze przypominały groteskowe maski; ale mieli kości, mięśnie, dziką żywotność, intensywną energię w ruchach, co było równie naturalne i prawdziwe, jak fale rozbijające się o brzeg. Ich obecność nie wymagała usprawiedliwienia. Widok tych ludzi stanowił wielką pociechę. Przez pewien czas czułem, że należę jeszcze do świata prostych faktów; ale to nie trwało długo. Zawsze coś zaszło i przepłoszyło to uczucie. Raz, pamiętam, natknęliśmy się na statek wojenny zakotwiczony daleko od brzegu. Na lądzie nie było nawet szopy, a jednak statek obrzucał gąszcz pociskami. Okazało się, że Francuzi prowadzą wojnę w tamtych okolicach. Flaga statku zwisała jak łachman; lufy długich, sześciocalowych armat wystawały ze wszystkich stron niskiego kadłuba; statek wznosił się leniwie i opadał na tłustej, mulistej fali, chwiejąc cienkimi masztami. Wśród niezmierzonej pustki ziemi, nieba i wody tkwił ten niepojęty okręt i strzelał w głąb kontynentu. Bum! odzywała się jedna z sześciocalowych armat; drobny płomyk wyskakiwał i zniknął, niewielki kłęb białego dymu rozplątał się w powietrzu, drobny pocisk zaskrzeczał słabo – i nic nie następowało. Nic nastąpić nie mogło. Było w tym coś obłąkanego, widok ten przypominał ponurą krotochwilę²⁹ i nie rozproszył tego wrażenia jakiś człowiek z pokładu zapewniający mnie poważnie, że tam jest obóz krajowców – nazywał ich nieprzyjaciółmi! – ukryty gdzieś w głębi.

Doręczyliśmy wojennemu statkowi listy (mówiono mi, że ludzie na tym samotnym okręcie umierają na febrę przeciętnie po trzech dniach) i popłynęliśmy dalej. Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych miejscowości o nazwach jak z farsy, gdzie śmierć i handel wiodą wesóły taniec wśród cichej atmosfery nasyconej zapachem ziemi, niby w przegrzanych katakumbach³⁰; płynęliśmy wzdłuż bezkształtnego wybrzeża obramionego pianą niebezpiecznych nadbrzeżnych fal, jakby sama przyroda usiłowała odeprzeć intruzów; wjeżdżaliśmy w ujścia rzek – strumieni śmierci toczących się wśród życia – których brzegi rozpadały się w błoto, których wody, zgęszczone w szlam, ogarniały poskręcane mangrowce³¹, zdające się wić przed naszym wzrokiem w ostatecznej, bezsilnej rozpacz. Nie zatrzymaliśmy się nigdzie tak długo, aby można było doznać jakichś szczególnych wrażeń, ale ogólne uczucie nieokreślonego i dotkliwego zdziwienia wciąż we mnie wzrastało. Była to jakby uciążliwa pielgrzymka wśród zapowiedzi nocnych zmór.

Minęło z górą trzydzieści dni, nim zobaczyłem ujście wielkiej rzeki³². Zapusciliśmy kotwicę naprzeciw siedziby rządowej³³. Ale moja praca miała się zacząć dopiero o jakieś dwieście mil dalej. Toteż wyruszyłem możliwie najprędzej do miejscowości położonej trzydzieści mil w górę rzeki.

Odbyłem drogę na małym morskim parowcu. Kapitan, Szwed, wiedział, że jestem marynarzem, i zaprosił mnie na mostek. Był to człowiek młody, szczupły, nasepiony blondyn; włosy miał rzadkie i powłóczył nogami. Gdyśmy odbijali od lichego, małego pomostu, wskazał pogardliwie głową na brzeg.

– Mieszkał pan tam? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałem.

– Niezłe okazy ci rządowi faceci, co? – mówił dalej po angielsku z wielką precyzją i głębokim rozgoryczeniem. – To ciekawe, czego się niektórzy ludzie nie podejmą za parę franków na miesiąc. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje z takimi osobnikami, kiedy się znajdują tam, w górze rzeki?

Odrzekłem, że mam nadzieję wkrótce się o tym przekonać.

– Więc to ta-a-k! – wykrzyknął. Przeszedł w poprzek statku powłócząc nogami i zerkając czujnie ku przodowi. – Niech pan nie będzie zanadto pewien siebie – mówił dalej. – Parę dni temu odczepiłem człowieka, który się powiesił na drodze. Był to także Szwed.

²⁹ *krotochwila* (daw.) – żart. [przypis edytorski]

³⁰ *katakumby* – podziemne korytarze, w okresie wczesnochrześcijańskim często spełniające funkcje cmentarzy. [przypis edytorski]

³¹ *mangrowce* – namorzyny, rośliność przybrzeżna. [przypis edytorski]

³² *ujście wielkiej rzeki* – mowa o rzece Kongo. [przypis edytorski]

³³ *siedziba rządowa* – Boma, stolica Konga Belgijskiego. [przypis edytorski]

– Powiesił się! Dlaczego, na miłość boską? – wykrzyknąłem. Kapitan patrzył wciąż bacznie ku przodowi.

– Któż to wie? Może nie mógł znieść tutejszego słońca, a może i kraju.

Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie rzeka się rozszerzała. Ukazało się skaliste urwisko, wały wydobytej ziemi na brzegu, domy na wzgórzu; inne domki o żelaznych dachach tkwiły wśród pustki porytej wykopanymi jamami lub przywierały do stoku. Nieustanny szum bystrego nurtu rzeki unosił się nad tym wizerunkiem zamieszkałej pustyni. Gromada ludzi, przeważnie czarnych i nagich, roiała się jak mrówki. Pomost wstępował w rzekę. Od czasu do czasu oślepiające słońce zalewało nagle to wszystko wzmocnionym jeszcze blaskiem.

– Oto stacja waszej spółki – rzekł Szwed, wskazując trzy drewniane budynki podobne do baraków, stojące na skalistej pochyłości. – Odeślę tam panu rzeczy. Cztery skrzynie, tak? Dobrze. Żegnam pana.

Natknąłem się na kocioł poniewierający się w trawie i znalazłem ścieżkę prowadzącą na wzgórze. Skręciłem w bok z powodu leżących na drodze głazów i małego wagonika przewróconego do góry kołami. Jednego z nich brakowało. Wagonik wyglądał tak martwo, jakby był trupem jakiegoś zwierzęcia. Natrafiłem znów na rozlatujące się maszyny, na stos zardzewiałych szyn. Po lewej stronie kępa drzew rzucała nieco cienia, w którym jakieś ciemne kształty zdawały się lekko poruszać. Przymrużyłem oczy; ścieżka była stroma. Na prawo zadźwięczał róg i spostrzegłem, że czarni się rozbiegają. Ciężki i głuchy huk wstrząsnął ziemią, kłęb dymu wydobył się ze skały, i to było wszystko. Żadna zmiana w skale nie zaszła. Budowano tam kolej. Owa skała nie mogła przeszkadzać w robocie, ale bezcelowe jej wysadzanie było całą pracą, jaką wykonywano.

Usłyszałem za sobą lekki brzęk i odwróciłem głowę. Sześciu czarnych ludzi szło ścieżką gęsiego, dążąc z trudem pod górę. Szli powoli, wyprostowani, niosąc na głowie małe kosze pełne ziemi, a brzęk towarzyszył miarowo ich krokom. Wkoło bioder mieli przepaski z czarnych łańchmanów, których krótkie końce chwiały się z tyłu jak ogony. Można było policzyć wszystkie zebra tych ludzi; stawy ich członków³⁴ wyglądały jak węzły na linie. Każdy miał na szyi żelazną obrozę, a wszyscy byli połączeni łańcuchem, którego ogniwa kołysały się między nimi rytmicznym dźwiękiem. Drugi wybuch rozległ się od strony tej samej skały i przypomniał mi nagle ów statek wojenny, któremu się przypatrywałem, gdy strzelał w głąb kontynentu. Był to ten sam rodzaj złowieszczonego huku; ale tych ludzi żadną miarą nie można było nazwać nieprzyjaciółmi – nawet przy największym wysiłku wyobraźni. Nazwano ich zatem zbrodniarzami, a pogwałcone przez nich prawo, tak jak i pękające pociski, przybyły zza morza – niezbadane, tajemnicze. Wychudłe piersi Murzynów dyszały równocześnie, rozdęte gwałtownie nozdrza drgały, oczy patrzyły kamiennym wzrokiem w górę przed siebie. Przeszli o sześć cali ode mnie nie rzuciwszy mi nawet spojrzenia, z zupełną, śmiertelną obojętnością dzikich, którzy są nieszczęśliwi. W ślad za tym surowym materiałem jeden z nawróconych krajowców – rezultat działania nowych sił – włókł się zgębiony, trzymając strzelbę przez środek. Miał na sobie mundurową kurtkę, u której brakowało guzika, i spostrzegłszy na ścieżce białego, podniósł z pośpiechem broń na ramię. Była to zwykła ostrożność; nie mógł poznać od razu, kim jestem, ponieważ biali są na odległość bardzo do siebie podobni. Uspokoił się szybko i wykrzywił twarz, pokazując białe zęby w szerokim, łotrowskim uśmiechu, przy czym ogarnął spojrzeniem powierzonych mu ludzi. Jakby poczuwał się do koleżeństwa ze mną w pełnieniu wzniosłych obowiązków. Przecież ja byłem również częścią wielkiej przyczyny, wywołującej to wyższe i sprawiedliwe postępowanie.

Zamiast iść w górę, odwróciłem się i zacząłem schodzić na lewo. Chciałem, aby ci więźniowie skuci łańcuchem zniknęli mi z oczu, zanim znów zacnę się wspinać. Wiecie, że specjalnie czuły nie jestem; wypadało mi nieraz i zadawać ciosy, i odbierać je. Czasem musiałem się bronić, a czasem atakować – co jest tylko pewną formą obrony – nie zastanawiając się wiele, zgodnie z wymaganiami

³⁴ członki (daw.) – kończyny. [przypis edytorski]

życia, w jakie wdepnąłem. Widywałem szatana przemocy i szatana chciwości, i szatana pożądlivosti; ale, na Boga! byli to silni, jurni szatani o ognistych ślepiach, którzy rządili i powodowali³⁵ ludźmi – ludźmi, mówię wam. Lecz stojąc tam, na zboczu wzgórza, poczułem, że pod oślepiającym blaskiem słońca w tym kraju zapoznam się z rozlazłym, kłamiwym, bladookim diabłem, opiekunem drapieżnej i bezlitosnej głupoty. Jak chytry umiał być także, przekonałem się dopiero po kilku miesiącach i o tysiąc mil dalej. Zatrzymałem się, przerażony, jak gdyby mnie ktoś ostrzegł. Wreszcie zacząłem schodzić na ukos ze wzgórza, kierując się ku drzewom, które przedtem widziałem.

Obszedłem wielką dziurę, wykopaną przez kogoś na zboczu w celu niemożliwym do przeniknięcia. Nie wyglądała w każdym razie ani na kamieniołom, ani na jamę, z której wybrano piasek. Była to po prostu dziura. Może miała coś wspólnego z filantropijnym³⁶ zamiarem dostarczenia zbrodniarzom jakiegoś zajęcia. Nie wiem. Potem znów o mało co nie wpadłem do bardzo wąskiej szczeliny, wyglądającej na zboczu jak nieznaczna blizna. Odkryłem, że wrzucono tam całe mnóstwo rur sprowadzonych dla³⁷ zdrenowania³⁸ osady. Potłukły się co do jednej. Był to objaw rozpasanego niszcycielstwa.

Dotarłem wreszcie do drzew. Zamierzałem powależać się trochę w ich cieniu; ale ledwie się tam znalazłem, wydało mi się, że przestąpiłem ponury krąg jakiegoś *inferno*³⁹. Wartkie prądy pobliskiej rzeki wytwarzały nieustanny, jednostajny, ślepy, gwałtowny hałas, przepelniający tajemniczym rytmem żalobny spokój gaju, jak gdyby gwałtowny rytm rozpedzonej ziemi stał się nagle słyszalny wśród drzew, gdzie się nie czuło najlżejszego powiewu, gdzie nie drgnął żaden listek.

Czarne kształty czołgały się, leżały siedziały między drzewami, opierając się o pnie, tuliły się do ziemi – to widzialne, to przesłonięte mętym półmrokiem – we wszelkich możliwych pozach wyrażających ból, zgnębienie i rozpacz. Rozległ się znowu wybuch miny w skale i ziemia wzdrygnęła się lekko pod moimi nogami. Praca posuwała się naprzód. Praca! A tutaj było miejsce, gdzie niektórzy jej wykonawcy usunęli się, aby umrzeć.

Umierali powoli – to nie ulegało wątpliwości. Nie byli nieprzyjaciółmi, nie byli zbrodniarzami, nie zostało w nich już nic ziemskiego – były to tylko czarne cienie choroby i głodu, leżące bezwładnie w zielonawym mroku. Ściągnięci ze wszystkich zakątków wybrzeża na podstawie legalnych kontraktów, rzućni w nieodpowiednie warunki, żywieni nieodpowiednią strawą, osłabli, stali się niezdolni do pracy; pozwolono im wreszcie odpełznąć i wypoczywać. Te konające postacie były wolne jak powietrze – i prawie równie niematerialne. Zacząłem rozróżniać połysk oczu pod drzewami. Potem, spojrzawszy w dół, zobaczyłem twarz tuż koło mej ręki. Czarny szkielet leżał wyciągnięty na ziemi, opierając się ramieniem o drzewo; powieki jego podniosły się z wolna i zapadłe oczy spojrzały na mnie, olbrzymie i nieprzytomne; w głębi orbit zatliło się jakby ślepe, białe światło i gasło powoli. Ów człowiek wyglądał na młodego – był to prawie chłopiec – ale wiecie, że trudno się w nich połapać. Nie miałem pojęcia, co bym mógł zrobić dla niego, i tylko podałem mu suchar ofiarowany mi na okręcie przez zacnego Szweda. Palce biedaka zamknęły się powoli wkoło suchara i trzymały go – był to ostatni ruch, jaki dostrzegłem, ostatnie spojrzenie. Naokoło szyi miał zawiązane pasemko białej wełnianej przędzy. Dlaczego? Skąd je wy dostał? Czy to był jakiś znak szczególny – czy ozdoba – czy amulet – czy akt błagalny? Czy była w ogóle jakaś myśl z tym związana? Ta odrobina białej przędzy zza mórz wyglądała dziwnie niepokojąco na czarnej szyi.

Niedaleko tego samego drzewa jeszcze dwie wiązki kątów ostrych siedziały z podciągniętymi nogami. Jeden z Murzynów oparł brodę o kolana, patrząc w próżnię w przerażający, nieznośny sposób; bratnia jego mara podtrzymywała sobie czoło, jakby owładnięta wielkim znużeniem; inne

³⁵ *powodować* (daw.) – kierować. [przypis edytorski]

³⁶ *filantropijny* – miłosierny. [przypis edytorski]

³⁷ *dla* (daw.) – w celu. [przypis edytorski]

³⁸ *zdrenować* – (o glebie) wysuszyć, odprowadzając nadmiar wody. [przypis edytorski]

³⁹ *inferno* (wł.) – piekło. [przypis edytorski]

jeszcze były rozrzucone wokoło, poskręcane we wszelkich możliwych pozach, pełnych wyczerpania, jak na obrazie rzezi lub moru⁴⁰. Gdy stałem, porażony zgrozą, jedna z tych istot zwlokła się na ręce i kolana i popęzła na czworakach w stronę rzeki, aby się napić. Chłęptała wodę z dłoni, potem usiadła na słońcu skrzyżowawszy przed sobą piszczele, a w chwilę później wełnista jej głowa opadła na piersi.

Miałem już dosyć tego wałęsania się w cieniu i pośpieszyłem ku stacji. W pobliżu zabudowań spotkałem białego, ubranego z tak nieoczekiwaną elegancją, że w pierwszej chwili wziąłem go za coś w rodzaju wizji. Zobaczyłem wysokiego, nakrochmalonego kołnierzyka, białe mankiety, lekką alpakową kurtkę, śnieżne spodnie, jasny krawat i lakierki. Kapelusza nie miał. Włosy jego były rozdzielone, wyczesane i wypomadowane, a w dużej białej ręce niósł parasol z zieloną podszewką. Był zdumiewający; za jego uchem tkwiło pióro.

Podąłem dłoń temu cudu i dowiedziałem się, że to jest główny buchalter⁴¹ spółki i że całą księgowość prowadzi się właśnie na tej stacji. Powiedział, iż wyszedł tylko na chwilę, aby „odetchnąć świeżym powietrzem”. To wyrażenie brzmiało bardzo dziwacznie, budząc asocjacje⁴² biurowego, siedzącego życia. Nie byłbym wam wcale wspominał o tym urzędniku, ale z jego ust usłyszałem po raz pierwszy nazwisko agenta, który tak nierozzerwalnie się łączy z moimi wspomnieniami z tego okresu. A przy tym czułem dla tego faceta szacunek. Tak; czułem szacunek dla jego kołnierzyków, szerokich mankietów, wyczesanej czupryny. Wyglądał niewątpliwie jak lalka od fryzjera, ale wśród wielkiego rozprężenia w całym kraju dbał o swą powierzchowność. To się nazywa trzymać fason. Jego nakrochmalone kołnierzyki i gorsy od koszul były wynikiem siły charakteru. Bawił tu już blisko trzy lata; i nie mogłem się kiedyś powstrzymać od zapytania, skąd wytrzasnął taką bieliznę? Zacerwienił się leciutko i rzekł skromnie:

– Wyuczyłem jedną z tutejszych kobiet, kręcących się przy stacji. To było trudne. Nie smakowała jej ta robota.

Takim sposobem człowiek ten rzeczywiście czegoś dokazał. A przy tym był szczerze oddany swoim księgom, które utrzymywał we wzorowym porządku.

Poza tym wszystko na stacji było w nieładzie – głowy, rzeczy, budynki. Długie sznury pokrytych kurzem Murzynów o płaskich stopach przybywały i odchodziły; potok wszelakiej manufaktury⁴³, lichych perkali⁴⁴, paciorków i miedzianego drutu odpływał w głąb ciemności, skąd sączyła się w zamian drogocenna kość słoniowa.

Musiałem czekać na stacji przez dziesięć dni – całą wieczność. Mieszkałem w chacie na dziedzińcu, ale żeby się wyrwać czasem z tego chaosu, zawiadzałem o biurze buchaltera. Zbudowane było z poziomych desek tak lichy dopasowanych, że gdy buchalter pochylał się nad wysokim swoim pulpitem, poprzekreślany był od stóp do głów wąskimi paskami światła. W pokoju było jasno bez otwierania wielkiej okiennicy. Przy tym panował tam upał; wielkie muchy brzęczały szatańsko i nie kłuły, lecz raniły. Siadywałem zwykle na podłodze, podczas gdy buchalter o nieskazitelnej powierzchowności (nieco nawet uperfumowany) sterczał na wysokim stołku i pisał. Czasem wstawał, aby rozprostować kości. Gdy wtaczano łóżko na kółkach z chorym (jakimś agentem, który zasłabł w górnych okolicach rzeki), przejawiał lekkie rozdrażnienie.

– Jęki chorego – mówił – rozpraszają moją uwagę. A bez tego niezmiernie jest trudno ustrzec się błędów w tym klimacie.

Pewnego dnia zauważył, nie podnosząc głowy:

⁴⁰ *mór* – zaraza. [przypis edytorski]

⁴¹ *buchalter* (daw.) – księgowy. [przypis edytorski]

⁴² *asocjacja* – skojarzenie. [przypis edytorski]

⁴³ *manufaktura* – tu: wyroby. [przypis edytorski]

⁴⁴ *perkal* – rodzaj cienkiego bawełnianego płótna. [przypis edytorski]

– Tam w głębi kraju spotka się pan z pewnością z Kurtzem⁴⁵. – Gdy zapytałem, kim jest Kurtz, odrzekł, że to jeden z głównych agentów; spostrzegłszy, iż ta informacja rozczarowała mnie, dodał powoli, odkładając pióro: – Bardzo wybitny człowiek. – Dowiedziałem się dalej od niego, że Kurtz jest kierownikiem handlowej stacji, bardzo ważnej stacji, we właściwym kraju kości słoniowej, w samym centrum. Przysyła tyle kości słoniowej, co wszyscy inni razem wzięci...

Zaczął znów pisać. Z chorym było tak źle, że nawet nie jęczał. Muchy bzykały wśród wielkiego spokoju.

Nagle usłyszałem wzrastający gwar i głośny tupot kroków. Przybyła karawana. Gwałtowny bełkot złożony z dziwacznych dźwięków wybuchnął po drugiej stronie desek. Wszyscy tragarze mówili jednocześnie, a wśród tego hałasu rozległ się żalostny głos głównego agenta, który wołał po raz dwudziesty tego dnia, że „ma już tego dosyć”... Wstał powoli z krzesła.

– Cóż to za okropny hałas – powiedział. Przeszedł po cichu przez pokój, aby spojrzeć na chorego, i rzekł do mnie wracając:

– On nie słyszy.

– Jak to, umarł? – spytałem przestraszony.

– Nie, jeszcze nie – odrzekł z wielkim spokojem. Potem dodał kiwnąwszy głową w stronę zgiełku na dziedzińcu: – Kiedy człowiek musi wciągać, jak się należy, pozycje, zaczyna czuć do tych dzikich nienawiść – śmiertelną nienawiść. – Zamyślił się na chwilę. – Jak pan zobaczy Kurtza – ciągnął dalej – niech mu pan powie ode mnie, że wszystko tutaj – spojrzał na pulpit – jest w zupełnym porządku. Nie lubię pisać do niego, z tymi naszymi posłańcami nie wiadomo nigdy, do czyich rąk list może się dostać tam, na tej stacji centralnej⁴⁶. – Patrzył we mnie przez chwilę łagodnymi, wypukłymi oczyma. – O, ten to zajdzie daleko, bardzo daleko – zaczął znów. – Zajmie wkrótce ważne stanowisko w administracji. Postanowili tak ci u góry, rada spółki w Europie, rozumie pan.

Zabrał się znów do pracy. Hałas na zewnątrz ustał; wychodząc z chaty, zatrzymałem się na progu. Wśród spokojnego brzęczenia much agent wracający do kraju leżał czerwony i nieczuły na wszystko; drugi zaś, pochylony nad swymi księgami, wciągał poprawnie pozycje różnych idealnie poprawnych transakcji; a pięćdziesiąt stóp poniżej progu chaty widać było nieruchome wierzchołki drzew z gaju śmierci.

Następnego dnia opuściłem nareszcie stację razem z karawaną złożoną z sześćdziesięciu ludzi, wyruszając na dwustumilowy marsz piechotą.

Nie warto rozwódzić się nad tym. Wszędzie ścieżki i ścieżki; wydeptana sieć ścieżek snujących się po pustym kraju przez wysoką trawę, przez spaloną trawę, przez gąszcz, na dół i w górę przez chłodne wąwozy, w górę i na dół po kamienistych pagórkach rozprażonych przez upał; a przy tym samotność, zupełna samotność – nikogo, ani jednej chaty. Ludność wyniosła się stamtąd już dawno. Gdyby tak cała masa tajemniczych Murzynów, uzbrojonych w straszliwy oręż wszelakiego rodzaju, zaczęła nagle podróżować drogą między Deal a Gravesend, łapiąc parobków na prawo i lewo do dźwigania ciężkich juków, wyobrażam sobie, że każdy folwark i każda wieś w tych okolicach opróżniłyby się bardzo szybko. Ale tutaj i zabudowania znikły również. Przechodziłem jednak przez kilka opuszczonych wsi. Jest coś wrzuszająco dziecinnego w ruinach ścian z trawy. Dzień po dniu słyszałem za sobą tupot i szelest sześćdziesięciu par bosych nóg, a każda para dźwigała sześćdziesięciofuntowy ciężar. Rozbijanie obozu, gotowanie, sen, zwijanie obozu, marsz. Od czasu do czasu znajdowaliśmy Murzyna spoczywającego w wysokiej trawie blisko ścieżki – tragarza, który padł martwy w uprząży, a obok niego pustą tykwę⁴⁷ na wodę i długi kij. Wielka cisza naokoło nas i w górze. Niekiedy wśród spokojnej nocy drganie dalekich bębnow, to wznoszące się, to opadające

⁴⁵ Kurtz – wg niektórych interpretatorów nazwisko znaczące; Kurtz (niem.: krótki) miałoby być imieniem diabła z ludowych podań, podobnie jak polskie „Kusy”. [przypis edytorski]

⁴⁶ na tej stacji centralnej – mowa o Leopoldville (obecnie Kinszasa). [przypis edytorski]

⁴⁷ tykwa – twarda okrywa owocu rośliny o tej samej nazwie, stosowana jako pojemnik na wodę. [przypis edytorski]

drganie rozległe i słabe; dźwięk dziwaczny, pociągający, wymowny i dziki – o znaczeniu może równie głębokim jak dźwięk dzwonów w kraju chrześcijańskim.

Spotkaliśmy raz białego w rozpiętym mundurze, obozującego na ścieżce ze zbrojną eskortą złożoną z wychudłych Zanzibarczyków; bardzo był gościnny i podochocony, żeby nie powiedzieć – pijany. Oświadczył, że pilnuje porządku na drogach. Nie mogę powiedzieć, abym widział jaką drogę lub jakkolwiek porządek, chyba że ciało Murzyna w średnim wieku – z dziurą od kuli w czole – o które dosłownie potknąłem się trzy mile dalej, można uznać za trwałe zaprowadzenie porządku.

Podróżował ze mną także pewien biały, niezły sobie człowiek, ale nieco zbyt otyły; miał przy tym nieznośny zwyczaj: mdlał na rozpalonych zboczach, w odległości całych mil od najmniejszego skrawka cienia i od wody. Przyznacie, że można się czuć rozdrażnionym, kiedy trzeba trzymać własną marynarkę niby parasol nad czyjąś głową, póki ten ktoś nie przyjdzie do siebie. Nie mogłem się raz powstrzymać od zapytania, po co on się tu w ogóle wybrał.

– Żeby zrobić pieniądze, naturalnie, a cóż pan sobie myśli? – odrzekł pogardliwie.

Potem dostał gorączki i trzeba go było nieść w hamaku zawieszonym na tyce. Ponieważ ważył dwieście dwadzieścia cztery funty⁴⁸, miałem ciągle awantury z tragarzami. Narowili się, uciekali, wymykali się ze swymi jukami w ciemność – coś zupełnie podobnego do buntu. Tedy pewnego wieczoru wyciąłem do nich po angielsku mowę z gestami, z których ani jeden nie uszedł sześćdziesięciu parom oczu patrzących we mnie, i następnego dnia wyprawiłem hamak jak się patrzy na czele karawany. W godzinę później natknąłem się na ten cały interes porzucony w krzakach – na mego towarzysza, hamak, jęki, kołdry, przerażenie. Ciężka tyka zdarła mu skórę z biednego nosa. Nalegał usilnie, abym kogoś zabił, ale w pobliżu nie było ani śladu tragarza. Przypomniałem sobie starego doktora: „Z punktu widzenia nauki byłoby ciekawe śledzić na miejscu zmiany psychiczne zachodzące w jednostkach”. Czułem, że staję się interesujący dla nauki. Ale to nie należy do rzeczy.

Piętnastego dnia ujrzałem znów wielką rzekę i dowlokłem się, kulejąc, do stacji centralnej. Znajdowała się nad małą zatoczką, wśród krzewów i lasu; z jednej strony przylegało do niej miłe, woniejące bagno, z trzech pozostałych była otoczona popękany płótnem z sitowia. Zaniedbany otwór w płócie stanowił jedyną bramę i wystarczyło rzucić okiem, aby się przekonać, że to rozlazły diabeł tu włada. Biali ludzie z długimi kijami w rękach wysunęli się ospale spośród budynków, przywlekli się, aby na mnie spojrzeć, i znikli z widoku. Jeden z nich, tęgi, porywczy facet o czarnych wąsach, dowiedziawszy się, kim jestem, poinformował mnie bardzo potocznie, odbiegając często od tematu, że parowiec mój znajduje się na dnie rzeki. Spiorunowała mnie ta wiadomość. Co? jak to, dlaczego? O, „wszystko w porządku”. „Sam dyrektor” był przy tym. Nie ma podstaw do żadnych zarzutów.

– Wszyscy zachowali się wspaniale, wspaniale! Musi pan pójść i zobaczyć się natychmiast z głównym dyrektorem – ciągnął podniecony. – On czeka na pana!

Nie od razu zrozumiałem właściwe znaczenie tego rozbicia. Mam wrażenie, że już teraz rozumiem, ale pewny nie jestem bynajmniej. Kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że ten wypadek był naprawdę zbyt niedorzeczny, aby mógł być zupełnie naturalny. A jednak... Ale w owej chwili wyglądał po prostu jak jakaś przeklęta przeszkoda. Parowiec zatonął. Przed dwoma dniami wyruszyli w nagłym pośpiechu w górę rzeki z dyrektorem na pokładzie, pod komendą jakiegoś ochotniczego kapitana, i zanim upłynęły trzy godziny, wybili o kamienie dno statku, który zatonął przy południowym brzegu.

Zapytałem siebie, co tu mam właściwie do roboty, teraz, gdy statek mój przepadł. A w rzeczywistości czekała moc pracy przy wyławianiu z rzeki mego dowództwa. Musiałem wziąć się do tego zaraz na drugi dzień. Wydobycie statku, a potem naprawa, gdy już sprowadziłem na stację wszystkie części parowca, trwały kilka miesięcy.

Pierwsza moja rozmowa z dyrektorem była ciekawa. Nie poprosił wcale, abym usiadł, choć przeszedłem tego ranka dwadzieścia mil. Miał pospolitą cerę, pospolite rysy, maniery i głos. Wzrostu

⁴⁸ *fun*t – brytyjska miara masy, obecnie ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

był średniego, budowy przeciętnej. Jego oczy, zwykłego niebieskiego koloru, były chyba szczególnie zimne, a spojrzenie – gdy chciał – spadało na człowieka ostre i ciężkie jak topór. Ale nawet i wówczas reszta jego osoby zdawała się temu przeczyć. Tylko na jego ustach błędził jakiś nieokreślony, nikły wyraz – coś ukradkowego – uśmiech, nie uśmiech; pamiętam go, ale nie umiem wytłumaczyć. Ten uśmiech był nieświadomy, choć stawał się wyraźniejszy w chwili, gdy dyrektor kończył coś mówić. Zjawiał się jak pieczęć przyłożona do słów, aby znaczenie najzwyczajszego zdania uczynić zupełnie nieprzeniknionym. Ów dyrektor był to zwykły sobie kupiec pracujący od dzieciństwa w tych okolicach – i nic więcej. Słuchano go, ale nie wzbudzał ani przywiązania, ani trwogi, ani nawet szacunku. Wzbudzał niepokój. Otóż to właśnie! Niepokój. Nie było to wyraźne niedowierzanie – po prostu niepokój, nic więcej. Nie macie pojęcia, jak skuteczna może się stać taka... taka... właściwość. Nie miał zmysłu organizacyjnego ani inicjatywy, ani nawet zamiłowania do ładu. Wychodziło to na jaw w takich rzeczach, jak na przykład opłakany stan stacji. Nie był wykształcony, nie był inteligentny. Dlaczego dostał się na to stanowisko? Może dlatego, że nigdy nie chorował... Przesłużył w tamtych okolicach trzy okresy po trzy lata... Dlatego, że świetne zdrowie wśród ogólnego pogromu organizmów jest już samo przez się rodzajem potęgi. Gdy udawał się do kraju na urlop, hulał wystawnie – na wielką skalę. Niby marynarz na urlopie – z pewną jednak różnicą – czysto zewnętrzną. Można było się tego domyślić z jego przygodnych opowiadań. Nie potrafił nic stworzyć, umiał tylko korzystać z rutyny – i to wszystko. Ale był wielki. Był wielki dzięki drobnej rzeczy polegającej na tym, że niepodobna było dociec, co może mieć władzę nad takim człowiekiem. Nie zdradził nigdy tej tajemnicy. A może nie tkwiło w nim po prostu nic. Takie podejrzenie trzymało człowieka w szachu – bo zewnętrznej kontroli nie było. Raz, kiedy przeróżne tropikalne choroby położyły prawie wszystkich „agentów” na stacji, usłyszano, jak dyrektor mówił:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.